

Dotknij ducha – rozmowa z prof. Anną Mikołajko

To potężna siła społeczna, niemniej trudno dziś brać poważnie hobby tych ludzi.

Trudno to nazwać hobby, bo nie ograniczają się oni do organizowania seansów. W Brazylii istnieje m.in. sieć szkół prowadzonych przez spirytystów, z których część jest na tak wysokim poziomie, że najbogatsi Brazylijczycy walczą, by móc posłać do nich swoje dzieci. Dochody z tych elitarnych placówek pozwalają na finansowanie szkolnictwa dla najbiedniejszych dzieci z faveli, zwłaszcza tych osieroconych w wyniku wojen gangów czy strzelanin z policją. To ponadto konkurencyjny dla państwowego system służby zdrowia, dostępny także dla ludzi najuboższych, gdzie pracę lekarzy wspomagają osoby będące mediami. Bez ruchu spirytystycznego społeczeństwo brazylijskie nie byłoby w stanie dziś funkcjonować, a raczej bez tej siatki wzajemnej pomocy i odpowiedzialności. Wszystko to bierze się z systemu wierzeń zapoczątkowanego w XX wieku przez teoretyka spirytyzmu, filozofa Allana Kardeca, zgodnie z którym trzeba być dobrym dla innych, gdyż czeka nas obietnica reinkarnacji, a na końcu nagroda w postaci nie jakiejś tam buddyjskiej pustki, ale osiągnięcia swojej prawdziwej, oczyszczonej ze zła, doskonałej postaci.

A jak się do tego wszystkiego mają duchy, wirujące stoliki i te wszystkie mało poważne atrybuty, które zaraz przychodzą na myśl przeciętnemu człowiekowi na dźwięk słowa spirytyzm?

Jakie duchy? Zaczniemy od tego, że spirytyzm był nurtem, w który na przełomie XIX i XX wieku zaangażowała się elita ówczesnego świata. Świata, który stał – podobnie zresztą jak dziś nasz – na rozdrożu. Był to okres wielkich odkryć naukowych, rozwoju technologii, budowy maszyn, ale także fundamentalnych pytań natury filozoficznej i etycznej.

Obawiano się, że jeśli ludzkość pójdzie w stronę technologii, może stracić swoją duchowość i wrażliwość. Że ulegnie barbaryzacji, a ludzie upodobnią się do maszyn. Byli więc tacy, jak np. poeta i filozof Antoni Lange, którzy uważali, że poprzez rozwój duchowości można osiągnąć więcej niż rozwijając technologie. Inni zaś próbowali znaleźć konsensus między światem ducha a materii lub przynajmniej zrozumieć naturę zjawisk mediumicznych. I były to naprawdę tęgie umysły. Wystarczy wymienić parę nazwisk – od Marii Skłodowskiej-Curie (a zwłaszcza jej męża Piotra Curie) poczynając, poprzez filozofa i psychologa Williama Jamesa, biologa ewolucjonistę Alfreda Russela Wallace'a czy fizyka i chemika Willama Crookesa lub wreszcie wybitnego filozofa pozytywistycznego Gabriela Tarde'a, który wyprowadzał życie społeczne z życia psychicznego, traktowanego przez niego jako zjawisko obiektywne.

I właśnie spirytyzm był takim nurtem pozytywistycznym, którego celem była odpowiedź na pytanie: czy istnieje życie po śmierci, jakiś drugi świat?

Niezupełnie. Przybierał różne formy, od religijnych po naukowe. W tym ostatnim przypadku najchętniej posługiwał się filozofią i metodologią pozytywistyczną. Ale rzeczywiście ludzie ci chcieli zdobyć odpowiedź na te pytania. Wzbraniali się zresztą przed używaniem niepoważnego określenia „duchy”, woleli nazwę „zjawy”. Zjawy, czyli coś, co im się objawiało, co widzieli na własne oczy i co starali się zbadać oraz wytłumaczyć. Oczywiście idea spirytyzmu bardzo szybko przedarła się do świata artystycznego, u nas w kraju zafascynowała takie osobowości jak Witkacy, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Bolesław Prus czy zwłaszcza – popularny także wśród współczesnej młodzieży, a zwany polskim Lovecraftem – Stefan Grabiński.

Ale także masy kucharek, pokojówek, woźniców, całej tej ludzkiej czeredy, która na rewelacje spirytystyczne rzuciła się w poszukiwaniu ekscytującej rozrywki.

Tak rzecz ma się z każdą ideą, która, stając się masową, błyskawicznie potrafi się-gnać parteru. Szybko narodził się więc spirytystyczny biznes, organizowano płatne pokazy, na których oszukańcze media „wywoływały” duchy ku ucieście publiki. Moda na wywoływanie duchów, którą zapoczątkowały w 1848 roku amerykańskie siostry Fox (Kate, Leah i Margaret), błyskawicznie przeniosła się do Europy. Np. w Anglii za wstęp na seans trzeba było zapłacić jedną gwineę, co stanowiło sporą kwotę, a chętnych nie brakowało, bo już w latach 60. i 70. XIX wieku liczbę osób zainteresowanych spirytyzmem szacowano tam na sto tysięcy osób. Zarabiano też na sprzedaży specjalnych stolików do wywoływania duchów (nie mogło być w nich ani jednego gwoździa), ekranów fosforyzujących, którymi oświetlały się zjawy (istnieje wiele protokołów stwierdzających niezbicie, że zjawy unosiły ekrany, by ukazać się w ich świetle), zasłon, lampek i całej tej galanterii sprawiającej, że seanse miały niepowtarzalną oprawę.

Byli jednak tacy, którzy zajmowali się tym dla czystej idei tudzież ciekawości intelektualnej. I dotyczy to nie tylko naukowców, ale także osób określanych mianem mediów, jak np. słynny na całym świecie Teofil Modrzejewski. Znany także pod pseudonimem Franek Kluski: warszawski dziennikarz, poeta, człowiek o nieposzlakowanej uczciwości, który nigdy nie wziął ani grosza za swój udział w seansach – działał wyłącznie dla dobra nauki. Do tego stopnia, że kiedy zaproponowano mu ogromne pieniądze za cykl pokazów w Stanach, odmówił w obawie, by mu nie zszargano nazwiska.

Trzeba jednak wiedzieć, że ten naukowy nurt nie był jednolity. Można w nim wyróżnić dwie przeciwstawne szkoły: jedna wychodziła ze stanowiska, że to, co dzieje się na seansach spirytystycznych – te wszystkie zjawy, stukania stolików, talerzyki wędrujące od jednej do drugiej litery – jest niczym innym, jak emanacją świadomości uczestników takiego doświadczenia przekazywaną za pomocą myśli. Tak uważał m.in. jeden z najwybitniejszych polskich badaczy spirytyzmu,

wynalazca, filozof, psycholog, a także teoretyk pozytywizmu i wielki sceptyk – Julian Ochorowicz. Druga szkoła uznawała możliwość porozumiewania się z tymi, którzy znaleźli się po drugiej stronie, za niezbity fakt. Tę hipotezę forsował fizyk sir Olivier Lodge, jeden z twórców telegrafu. Jego syn, Raymond, zginął na froncie I wojny światowej. Podczas seansów organizowanych przez zrozpaczonego ojca duch Raymonda miał opowiadać, jak to jest na tym drugim świecie. Książka pt. „Raymond” przyniosła Lodge’owi tyleż popularność, co zmasowane ataki krytyków, którzy wyśmiewali „rewelacje” na temat drugiego świata będącego niemal dokładnym odwzorowaniem tego, jaki znamy. Z małymi różnicami: np. przebywający tam mieli się ubierać w szaty, bo „są wygodniejsze od garniturów”.

Niemniej – powtarzam – niezależnie od tego, czy ktoś przyjmował, że zjawy są wysłańcami z tamtego świata, czy też nie – usiłował to udowodnić za pomocą metod naukowych. Sam Kardec powtarzał przy każdej okazji, że „spirytyzm będzie naukowy albo nie będzie go wcale”.

A tym, co najbardziej fascynowało zarówno badaczy, jak i prostą publikę, były właśnie zjawy. Które zresztą, nie wiedzieć dlaczego, na początku mody na spirytyzm pojawiały się rzadko, by w jej rozkwicie mnożyć się w wielu postaciach i formach.

Podczas krakowskiego seansu w 1853 roku, pierwszego, jaki został zaprotokołowany w Polsce, zaobserwowano tylko dwukrotne przesunięcie stołu ruchem wirowym, a następnie jego uszkodzenie, co i tak wystarczyło, by wywołać sensację i trwającą przez sześć miesięcy debatę na łamach krakowskiego „Czasu”. O materializacjach zaczęto mówić dopiero w latach 70. XIX stulecia. Może ta zwiększająca się aktywność zjaw brała się z tej przyczyny, że dokąd się czymś nie interesujemy, tego po prostu nie ma. Gdy pojawia się zapotrzebowanie, szuka się i... znajduje. Ale prawdą jest, że w pewnym momencie głównym kryterium udanego seansu spirytystycznego stało się pojawienie na nim zjawy, stopień jej materializacji i aktywność, jaką

wykazywała. Tymczasem media miawały lepsze i gorsze dni, czasem były tak wyeksploatowane, że nie były w stanie nie tylko zmaterializować żadnej zjawy, ale nawet nic nie stukało, nie lewitowało, nie pachniało nawet. Wtedy pojawiała się pokusa oszustwa... Jednak wspomnianego Teofila Modrzejewskiego vel Franka Kluskiego – mimo zastawianych na niego pułapek – nigdy na żadnym iluzjonistycznym triku nie przyłapano. Co więcej, on wyjątkowo chętnie poddawał się nawet najtrudniejszym eksperymentom. Kiedyś lekarz Tadeusz Sokołowski wpadł na pomysł, by prosić pojawiające się na seansach zjawy o zanurzenie dłoni bądź stóp w płynnej parafinie. I kiedy goście z zaświatów znikali, pozostawały po nich puste odlewy kończyn. Naukowcy, którzy je badali – wtedy i dziś – twierdzą, że niemożliwe jest zrobienie ich w jakikolwiek znany sposób, np. poprzez nadmuchiwanie rękawiczki i włożenie do wosku. Zresztą Modrzejewski był sensacją na skalę światową i jego fenomen badali m.in. naukowcy tej klasy co prof. Charles Richet, laureat Nagrody Nobla z 1913 roku w dziedzinie medycyny.

Wśród publiczności też nie brakowało wielkich tego świata, by wspomnieć choćby Marszałka Piłsudskiego, a relacje z seansów pisał znany sceptyk i materialista – Tadeusz Boy -Żeleński.

Marszałek w ogóle miał ponoć słabość do zjawisk paranormalnych, potrafił wzmacniać ochronę, gdy jasnowidz przestrzegał go przed niebezpieczeństwem, a w jego obecności w Belwederze miano słyszeć jakieś dziwne głosy i stukot kroków. Ale to wszystko podobno... Wracając do Modrzejewskiego i zjaw, które materializował, miały być one bardzo wyraźne i cielesne, w ludzkich i zwierzęcych postaciach, a niektóre z nich pojawiały się na seansach regularnie i zachowywały z nadzwyczajną swobodą. Np. zjawa zwana lekarzem średniowiecznym próbowała diagnozować uczestników seansu, przygadując im czasem: a to „za dużo tłuszczu”, a to „za dużo wódeczki”. Inna, kapłan asyryjski, należała do szczególnie cenionej kategorii zjaw samooświeblających się (miała wypuszczać z

palców snopy iskier rozjaśniających pokój). Z kolei „człowiek pierwotny” miał się odznaczać wielką siłą fizyczną pozwalającą mu np. przenosić meble, za to niewielką inteligencją, którą łączył z nad wyraz przyjaznym usposobieniem. Lizał ludzi i... śmierdział mokrym psem.

Zjawy, zarówno te materializowane przez Modrzejewskiego, jak i przez inne media, formowały się z materii zwanej ektoplazmą. Jej skład chemiczny okazał się zadziwiająco nieskomplikowany.

Próbkę ektoplazmy po raz pierwszy pobrał Piotr Lebedziński, fotograf, założyciel fabryki materiałów światłoczułych, wynalazca pierwszych trwałych papierów fotograficznych. Pochodziła ona od medium Stanisławy Popielskiej, a została przebadana w Pracowni Bakteriologicznej Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie i przez niemieckiego lekarza Alberta Schrenck-Notzinga. Okazało się, że zawierała białka, kropelki tłuszczu, leukocyty, komórki nabłonkowe oraz mikroorganizmy pochodzące z ust medium. Dla środowiska spirytystów stało się to dowodem, że istota ludzka nie jest wyłącznie zespołem komórek, bowiem siłą umysłu, zwaną psychodynamizmem, może ukształtować ciało. Świadomość może zatem modelować materię i tworzyć świat, a duch ludzki, jeśli zechce, może odradzać się w materialnej postaci.

Dla tych, którzy chcieli uwierzyć, były to wystarczające dowody. Do najbardziej sceptycznych nie przemówiły.

Można tu przytoczyć historię Harry'ego Houdiniego, słynnego iluzjonisty. Otóż Houdini musiał przez jakiś czas udawać medium, ponieważ ludziom nie wystarczały już sztuczki, którymi ich raczył. Domagali się duchów, przepowiadania przyszłości i tym podobnych rzeczy. W ten sposób nauczył się różnych chwytów. Kiedy zmarła jego ukochana matka, zaczął jednak poszukiwać godnego zaufania medium i... każde demaskował. Wówczas zaprzyjaźniony z nim Arthur Conan Doyle, „ojciec” Sherlocka Holmesa, zaproponował mu seans z własną żoną, był bowiem głęboko przekonany o jej zdolnościach medialnych.

Medium weszło w trans i zaczęło opowiadać, jak to widzi zmarłą, która wchodzi do pokoju i żegna wszystkich znakiem krzyża świętego. „Łzesz, moja matka była Żydówką” – miał krzyknąć Houdini. Była wielka awantura i oczywiście koniec przyjaźni. Z kolei Fryderyk Engels, materialista i jeden z twórców ruchu komunistycznego, w pewnym okresie życia bardzo interesował się doświadczeniami z udziałem mediów. Sam nawet próbował wprowadzić w trans pewnego 12-letniego chłopca. Jednak tylko go zahipnotyzował. Eksperyment ten przytaczał potem jako dowód przeciwko spirytyzmowi, o którym zresztą wyrażał się bardzo kąśliwie. Komuniści także po wojnie zaciekle zwalczali wszelkie objawy duchowości, w tym spirytyzm. Drugim wielkim jego przeciwnikiem był Kościół katolicki.

Kościół najbardziej chyba obawiał się tego, co teraz ujawnia się w niektórych ruchach odrodzenia duchowego. Członkowie tych ruchów nie tyle starają się doskonalić siebie dla bytu wyższego, dla Boga, co raczej szukają boskości w sobie. Jednym z jej przejawów mają być odnalezione w sobie zdolności paranormalne. To między innymi pokłosie spirytyzmu. Ludzie wierzący nie zdają sobie nawet sprawy, jak wiele spirytystycznych idei przyjęło się na dobre w codziennym życiu. Jak choćby wiara w siłę sprawczą pozytywnego myślenia czy coraz powszechniejsza wiara w reinkarnację.

Jednak odpowiedzi na stawiane przez spirytyzm pytania nie znaleziono do dziś. W każdym razie w sposób, jakiego oczekiwali jego twórcy – naukowy, niebudzący wątpliwości, oparty na doświadczeniu, nie na wierze.

Po II wojnie światowej zainteresowanie spirytyzmem w Polsce i krajach bloku wschodniego przerwała materialistyczna ideologia. Dziś tęsknota za duchowością wróciła, jednak w innych postaciach, na przykład neoszamanizmu. Jego guru, zmarły przed dziesięcioma laty antropolog Carlos Castaneda, który w latach 60. badał praktyki związane z roślinami halucynogennymi meksykańskiego plemienia Indian Yaqui i

pobierał nauki u don Juana Matusa, pisał w swoich książkach, że to, jak postrzegamy rzeczywistość, jest w dużym stopniu kwestią kulturową. My postrzegamy ją jako materię, szamani jako energię.

Gdybyśmy się tego od nich nauczyli, moglibyśmy swobodnie przemieszczać się w czasie i przestrzeni, tworzyć swoje sobowtóry, robić rzeczy, o których czyta się w powieściach albo życiorysach świętych mędrców.

Cóż, niewykluczone. Dziś nawet dzieci w szkole uczą się na lekcjach fizyki, że wszystko jest energią.

No właśnie.

źródło: POLSKA Dziennik Zachodni – [link do artykułu](#)